

Jasiński Dariusz

Artefakt

Z „*Science Fiction*” nr 14 – kwiecień 2002

Nadgarstki przymocowali nam do poręczy, a kostki do przednich nóg krzesel. Zarówno na mojej, jak i na twarzy żony malowało się przerażenie. Tyle że ja miałem nad nią przewagę. Wiedziałem, kim są nasi oprawcy, czego od nas chcą, no i mój strach był tylko udawany.

Przyjrzałem się Suzie. Była bardzo atrakcyjną, długonogą blondynką o sporych wypukłościach w odpowiednich miejscach. Talię miała jak osa, mniej więcej taki sam rozum. I to było właściwie wszystko, czego oczekiwałem od żony. Przez dwa ostatnie lata uchodziłem w jej oczach za bogatego biznesmena. Przy jej ilorazie inteligencji nie miała prawa domyślić się prawdy. Kłopot Suzan polegał na tym, iż uznałem, że właśnie przyszedł czas na rozwód. Zdążyłem sobie wyrobić w świątku krezusów kilku planet odpowiednią renomę i przykrywką z żony nie była mi już potrzebna. Mój problem zaś stanowiło to, że zgodnie z tutejszym prawem mąż, składający pozew rozwodowy, musiał podzielić się z byłą małżonką połową majątku zarobionego w okresie trwania związku. Nie uśmiechało mi się takie rozwiązanie, tym bardziej że zamierzałem pozbawić ją również tego, co przechowywała na swoim koncie. Zapewne mogłem to wszystko przeprowadzić w mniej wyszukany sposób, ale gdybym ją zlikwidował, miałbym problemy ze stróżami porządku. Naruszyłoby to moją nieskałaną opinię, a tego przecież nie chciałem. Po co ktoś miał się mną interesować? Wybrałem więc bardziej okreźną drogę...

Dziś zaraz po wyjściu z filharmonii ruszyliśmy autostradą w kierunku domu. Niby przypadkowo ominałem zjazd i po kilku jeszcze pomyłkach wylądowaliśmy w slumsach. Tu rządy niepodzielnie sprawowała Mafia. Mało subtelna w swych działaniach, ale jednocześnie bardzo czytelna. Nie musiałem długo czekać, byśmy wpadli w łapy Dzieci Ulicy, czeladników, którzy drobnymi kradzieżami dorabiali się dobrego imienia w szeregach organizacji.

- No, suko, otwórz oczy! - krzyknął do Suzie jeden z trzech znajdujących się w pomieszczeniu szczeniaków.

Nie opierała się, toteż gładko zeskanował wzór jej siatkówki. Potem przyszła kolej na mnie. Uniosłem wysoko powieki, wykazując się chęcią współpracy.

- Dobra. A teraz podaj nazwę banku, numer konta i hasło - rzucił.

- Nie pamiętam... - skłamała.

Odetchnąłem z ulgą. To było dokładnie to, na co liczyłem. Byłem pewien, że bez dodatkowej „zachęty” nie zechce ujawnić klucza do tego, co najbardziej w życiu ceniła, a na co ciężko pracowała tyłkiem od wielu lat.

- A ty? - zwrócił się do mnie.

- Drugi Bank Rządowy w Kato, konto numer 23572-25, hasło „cukiereczek”. To konto mojej żony...

- Ty świnió! - usłyszałem głos Suzan.

- Przykro mi, kotku, ale nie chcę denerwować tych ludzi - odparłem spokojnie.

Właściwie to było dziwne, ale w tym trzyosobowym oddziale Dzieci znajdowała się dziewczyna.

Siedziała na krześle w końcu pokoju. Siostry robiły raczej za prostytutki, niż zajmowały się takimi akcjami.

Trzeci z nich właśnie zaczął wklepywać podane przeze mnie dane do komputera.

Zerknąłem na żonę. W oczach miała płomienie, którymi gdyby mogła, spopieliłaby mnie. Ale niestety... nie mogła. Poza tym nie zdawała sobie sprawy, że jej koszmar dopiero się zaczynał.

Mafia była organizacją przestępczą działającą na terenie całej naszej planety. Miała mniej więcej takie same wpływy na jej życie, jak politycy Rządu. Tyle że Mafia miała swoje sztywne zasady, prawa dotyczące praktycznie każdej, nawet najdrobniejszej sprawy. Nikt nie mógł ich złamać. Ani Dziecko, ani Dziadek.. A przepis dotyczący sytuacji, w której właśnie się znaleźliśmy, był przejrzysty. Bogacz udupiony przez Dzieciaki musiał podać numer konta. Jeśli zrobił to dobrowolnie, wychodził bez szwanku. Gdy jednak był oporny, zaczynała się zabawa. Najpierw odcinano mu palec, potem dłoń, stopę, a w końcu mężczyźni członek, a kobiecie pierś. Nic, czego nie dałoby się później odtworzyć. W razie jednak, gdyby to nie poskutkowało, puszczano ofiarę wolno, bo kto kryłby kasę za cenę takich cierpień. Przy tym nie wolno im

było zabijać, a złamanie przepisów Kodeksu najczęściej wiązało się ze zlikwidowaniem niesubordynowanego gamonia. Więc niczym nie ryzykowałem.

Wiedziałem to wszystko, bo sam kiedyś byłem Dzieckiem Ulicy i zawsze, co najwyżej, musiałem do-
chodzić tylko do odcięcia stopy.

- Zgadza się - usłyszałem gnojka przy komputerze. - Nie kłamał.

Ten, który z nami rozmawiał, wziął ze stołu niewielkie szczypce, bezceremonialnie złapał Suzan za palec wskazujący i mimo nieudolnych prób wyswobodzenia się, popartych przeraźliwym wrzaskiem, zacisnął ostrza. Palec spadł na podłogę, polala się krew. Krzyki się wzmożyły. Znajomy obrazek z dzieciństwa. Chwila przerwy i przytknął do jej rany dezynfekator. Trafiła na sadystę, bo urządzenie miało włączone jedynie odkażanie i zasklepianie ran, kontrolka opcji przeciwbólowej była zgaszona. Zapowiadała się niezła zabawa.

- Za co?!!! - wyła. - Przecież mąż wam powiedział!...

- Dlatego jest cały. Teraz jeszcze podaj mi swój numer - zwrócił się do mnie ten ze szczypcami.

- Spytaj ją. Ja już wam powiedziałem wszystko, co pamiętam. Podałem numer konta. - Musiałem im uświadomić, że jestem nietykalny.

Dzieci spojrzały na siebie zdziwione. Dziewczyna pokiwała tylko przecząco głową. Domyślałem się, że kombinowali, skąd znam przepis. Może przez chwilę uznali nawet, że mogę należeć do Mafii. Ale gdyby tak było, przecież podałbym im umówione hasło i wypuściliby nas bez słowa. A skoro tego nie zrobiłem, tylko się narażałem, musieli uznać moją wypowiedź za przypadek.

Chcąc nie chcąc zwrócili się z pytaniem do Suzie.

- Ja naprawdę nie wiem... - łkała. - On kłamie, pamięta... Rzeczywiście nie wiedziała.

Obcięcie dłoni wymagało większego narzędzia. Cięcie szło mu sprawnie. Musiał w nie włożyć sporo siły, bo czteropalca już, smukła i delikatna rączka Suzan od razu spadła na podłogę. Niektórzy początkujący potrzebowali nawet kilku cięć, rana była wtedy poszarpana i zostawiała później wyraźniejsze blizny. Tym razem Suzie odczuwała znacznie większy ból, toteż i krzyki były głośniejsze. Zaczynało mnie to już męczyć.

Kiedy jednak nadal nie podawała właściwej odpowiedzi, sekator zacisnął się tuż nad jej kostką. Tym razem jednak Dzieciak szybko użył dezynfekatora i wreszcie włączył też środek przeciwbólowy. Jego chyba również zmęczyły te hałasy. Poza tym zrozumiał, że ona rzeczywiście nic nie wie. Zostawił nas na chwilę i poszedł się skonsultować z dziewczyną. Najwyraźniej ona tu szefowała. Starsza Siostra? Dziwne to było zjawisko. No cóż, widać zasłużyła sobie na to. Najwyraźniej się dogadali, ale błysk w oczach chłopaka. zwiastował coś, czego nie przewidziałem w swoim planie. Najwyraźniej zamierzali zapomnieć o Kodeksie.

- Nie chcesz skrócić jej cierpień? - spytał.

- Nie - postanowiłem przestać udawać tchórza. - Więc zaraz czeka cię to samo co ją. - zagroził.

No cóż, w zasadzie mogłem zdradzić im wszystko. I tak zamierzałem tu jutro wrócić i odebrać to, co wzięli z konta Suzan. Na moim koncie jednak znajdowało się trochę za dużo pieniędzy. Kwota była niewyobrażalna, a to mogłoby skomplikować windykację. Wolałem już cięcie. Poza tym Dzieci zaczynały się gubić w swych poczynaniach. Jedna z reguł Mafii mówiła wyraźnie: „Nigdy nie ostrzegaj, zawsze działaj”. A oni mnie straszili. Najwyraźniej odeszliśmy już całkiem od jakichkolwiek zasad. Mogłem tylko liczyć, że jednak wciąż bali się zabijać bez zgody Ojców.

- No? Naprawdę chcesz sobie robić odrosty? - spytał.

- Pierdolcie się - odparłem spokojnie.

Chłopak trzymał w ręku duży sekator. Nie miał zamiaru zaczynać od palca. To nawet lepiej. Jeszcze raz spojrzął na Siostrę.

- Rźnij! - rozkazała.

Ta pewność siebie w jej głosie nawet mi zaimponowała. Przecież właśnie mogła wydać na nich wszystkich wyrok śmierci. A że trafili na mnie, to tak właśnie było.

- Kurwa mać - jęknąłem, gdy przeszła mnie koszmarna fala bólu. - I tak nic nie powiem.

Chłopak przyłożył do kikuta dezynfekator. Na moje szczęście nadal z włączoną opcją uśmierzania bólu. To dobrze, bo cierpły mi szczęki od mocnego ich zaciskania.

- O, w dupę - przeraził się nagle.

- Co? - spytał ten przed monitorem.

- On już ma bliznę po amputacji. Ktoś już go ciął.

No, pewnie. Sam to zrobiłem. Miałem kiedyś zlecenie, które łatwiej było wypełnić udając kalekę. Osoba bez prawej ręki wzbudza zaufanie, a nie miałem przecież wypisane na czole, że jestem mańkutom.

- Pierdol go, puśćmy ich - zaproponował mój oprawca. - Nawet skurwiel nie krzyczał.
- Dobra, szprycuj ich - rozkazała dziewczyna. Odsapnąłem z ulgą. Zamierzali nam podać mikainę. Lekki narkotyk, na który byłem uodporniony. Kiedyś przez cały miesiąc dzień w dzień karmiłem się tym świństwem, aż organizm się przyzwyczaił. Co prawda przy okazji się uzależniłem, ale warto było. Dawka, którą właśnie podali Suzie, miała nas uspić na co najmniej dwadzieścia cztery godziny. Ja tymczasem miałem się obudzić ledwie po jakichś trzydziestu, czterdziestu minutach; Niestety, potem znów czekał mnie odwyk. Drgawki, rzyganie, ale nie ma nic za darmo.
Chwilę po żonie też odpłynąłem.

Ocknąłem się w samochodzie. Wściekły przyjrzałem się kikutowi. Zły byłem na siebie, bo nie przewidziałem, że coś może pójść nie tak. Do Dzieci nie miałem pretensji. Przedtem miałem im tylko skuć mordy i odebrać, co moje, a tak, dali mi jeszcze prawo do wykonania na nich wyroku. Może to i lepiej. Ich wybór, a dla mnie trochę zabawy.

Suzan znajdowała się w swoim świecie. Odwiozłem ją do domu i wrzuciłem do łóżka. Zastanawiałem się, jak bardzo mnie będzie nienawidzić, gdy się ocknie z najwyraźniej miłych wizji. Mogłem od razu wyciągnąć ją z tego błogostanu, ale w przyływie dobrego nastroju zostawiłem żonę nieprzytomną.

Z domu udałem się prosto do znajomego chirurga. Nawet się nie zdziwił, tylko od razu zabrał się do roboty. Miał już matrycę, więc sprawa mogła pójść szybko. Za cztery dni odrost miał dojrzeć, a po jakimś tygodniu powinienem już sprawnie poruszać nową częścią ciała. Był dobrym fachowcem. Najlepszym na tej półkuli i pewnie dlatego miał gabinet w stolicy. Tu, pomiędzy gmachem siedziby Rządu a biurem Dziadka, do którego właśnie się wybierałem.

- Pan Xien nikogo dziś nie przyjmuje - poinformowała mnie grzecznie sekretarka szefa planetarnej Mafii, przyglądając się z przerażeniem moim świeżym bliznom.

- Powiedz tylko, że Drak czeka.

- Kto?

- D-R-A-K. I to na biegu. Spojrzała na mnie jeszcze raz, ale użyła telkomu:

- Proszę mi wybaczyć, szefie, ale pan Drak mówi, że przyszedł w ważnej sprawie i że zechce pan go przyjąć.

- On tak powiedział? - usłyszałem zdziwiony głos starego. Zepchnąłem zdrową ręką palec dziewczyny i sam wcisnąłem przycisk.

- Kazałem jej powiedzieć, że czekam, ale ta suka starała się być miła. Tylko się na nią nie złość. Jest tu nowa, jak widzę, i jeszcze nie kuma.

- Wchodź.

- Drzwi gabinetu Dziadka otworzyły się.

- Na drugi raz nie myśl! - warknąłem do poblądłej dziewczyny.

- Wszedłem do środka.

- Czego chcesz? - spytał Dziadek. - Znasz mojego wnuka?

- Co, Wnuka? Przyjmujesz tu Dziecko Ulicy? - Zamierzałem się z nim podroczyć, zawsze bawiło mnie to ich nazewnictwo.

Chłopak siedzący obok starego uśmiechnął się.

- Nie, cholera, to mój normalny wnuk, prawdziwy. Syn mojej córki - zaczął się tłumaczyć.

- Cześć, Sły, załatwiłeś tego gościa, jak ci mówiłem? - zwróciłem się do młodego.

- Pewnie. Draku, jęczał jak prosię.

- Znacie się? - zdziwił się Xien.

- No. Sylvester zlecił mi kiedyś małą robótkę, ale uznałem, że sam powinien dać sobie radę. Pokazałem mu kilka sztuczek i, jak słyszę, miałem rację.

- Cholera, dzieciaki rosną, a starzy już zaczynają tracić nad nimi kontrolę.

- Trafieś w sedno. Muszę rozwalić trójkę twoich Wnuków. Szczeniaki urzęły mi łapsko i złamały tym Kodeks.

Opowiedziałem im ogólnie zdarzenia ostatniej nocy.

- Muszę mieć twoją zgodę. Chyba nie będziesz mi robić problemów?

- Niestety, nie mogę ci na to pozwolić. Sam wiesz, co mówi Kodeks: kto spoza organizacji zabije kogoś z naszych, sam musi zginąć.

- Ale mówi też, że kto systematycznie z wami współpracuje, może zostać w szczególnych przypadkach uznany za członka Mafii. Wystarczy mi twoje przyzwolenie. Poza tym, kiedyś byłem jednym z was.

- On ma rację, dziadku.

- Kurwa, znasz Kodeks lepiej niż ja.
- „Wiedza, którą posiadasz, może zdecydować o twoim życiu lub śmierci”, jak powiedział Holmes, założyciel kasty zabójców na Selenie.

- I co z nim?

- Zabili go, bo za dużo wiedział.

- He, he. Dobrze. A co mi tam. Masz moja zgodę. Tyle że to cię będzie kosztować okrągły milion.

- Jutro kasa będzie na twoim koncie.

- Bańka od głowy - uświadomił mnie Xien.

- Nie wiem, czy to mi się w ogóle będzie opłacało. Tani to ty nie jesteś.

- Ty też nie. Ale tak się składa, że miałem ci właśnie zlecić coś sporego, zainteresowany?

- Jak zawsze. Za ile i za co?

- Starsi Ojcowie uznali, że jest to warte 10 milionów. Słyszałeś o Vu?

- Vu?... Zaraz... Chodzi o ten księżyc Maroona?

- Właśnie. Co wiesz?.

- Niewiele. Ponoć Rząd odkrył tam jakieś pozostałości po nieznannej cywilizacji, ale wiesz, że nie wierzę w duchy, UFO i altruizm.

- A jednak coś tam jest. Rząd wysłał na Vu naukowców z wojskiem. Przez dwa tygodnie kręcili się po księżycu, aż dotarli do jakichś pomieszczeń pod powierzchnią. Grzebali tam i znaleźli parę nieznanymi urządzeń. Wysłano tam nawet przesyłkę z sierocińca. Musieli testować coś na dzieciakach. Ale w pewnym momencie przestali nadawać. Wiem jeszcze tylko, że ktoś odleciał stamtąd w nieznanym kierunku. Wysłali potem na Vu jeszcze dwa oddziały wojska, ale dostali od nich komunikat, że są tam jakieś pułapki i kontakt się urwał. Jak znam życie, to Rząd się wkrótce do ciebie odezwie. Chcę, byś mnie o wszystkim informował. A jeśli znajdziesz na Vu coś ciekawego i zechcesz to oddać mnie, to pogadamy o kolejnych okrągłych sumkach. Co ty na to?

- Tylko informacje? - zdziwiłem się. - Za dychę?

- Tylko.

- Wiesz, że nie potrafię ci odmówić.

- Czyli stoi? Siedem milionów?

- Plus trójka Wnuków?

- Jasne.

Nawet nie pytałem, czy zamierza oddać trzymilionową nadwyżkę swojej organizacji. Wiedziałem, że od dawna ją okrada. Ale póki był grzeczny nie moja sprawa. Sam ryzykował głową, a nie chciałem na razie zmiany na stanowisku Dziadka. Z Xieniem dobrze się rozumieliśmy.

- Ale, powiedz mi... Zawsze byłeś dobrze poinformowany. Naprawdę nic o tym nie wiedziałeś? - spytał.

- Nie - przyznałem. - Byłem ostatnio w Talie. Wiesz, drobna fucha rządowa, druga półkula, byłem trochę odcięty od nowinek.

- No, tak, ten milioner, jak mu tam... Nie mogli się z nim dogadać, czy co? Tak myślałem, że to twoja robota.

Uśmiechnąłem się tylko.

- Miło się gadało, ale mam jeszcze coś do załatwienia w slumsach.

- Przynies mi uszy. Muszę ich skreślić z ewidencji.

- Pamiętam o procedurze.

- No, to leć.

- Hej, Drakula!... - zawołał za mną Sly. - Ich jest trzech, a ty nie masz ręki, może potrzebujesz wsparcia?

- Odwróciłem się i spojrzałem na niego ironicznie.

- Dopóki Drak ma głowę na karku, nie musisz się o niego martwić, Sylwestrze - powiedział Xien z uśmiechem.

Słuchaj dziadka, a daleko zajdziesz - rzuciłem i wyszedłem z gabinetu. Cmoknąłem na odchodnym sekretarce i szedłem do auta. Zanim przeszedłem od słów do czynów, zaaplikowałem sobie małą działkę mikainy, bo już zaczynało mną telepać. Odpłynąłem na kilka minut. Gdy się ocknąłem, zobaczyłem, że mój komunikator nagrał wiadomość. Odsłuchałem ją. Trochę się wkurzyłem, bo polecono mi natychmiast zgłosić się do gabinetu premiera. Egzekucja musiała więc się odwlec o jakiś czas. Cóż, taka robota.

Budynek Rządu mieścił się trzy przecznice dalej. Usytuowany był w wielkim parku i strzeżony jak cnota purytanki. Zanim wszedłem do środka, sprawdzono mi identyfikator, porównano wzór siatkówki i kod genetyczny z informacjami w Banku Danych. Dopiero potem mogłem wejść. Nie drażniło mnie to, bo już

zdążyłem się do tego przyzwyczać. A Rząd miał naprawdę wielu wrogów. Głównie spoza naszego układu, ale i na planecie mogło się znaleźć paru fanatyków.

Ogólnie ludziom żyło się tu nieźle. Kto nie włąził w paradę Mafii i politykom, jeśli tylko pracował, nie narzekał na brak czegokolwiek. Planeta utrzymywała się z patentów medycznych (dość liberalne były u nas przepisy dotyczące testów na ludziach) oraz dobrze wyszkolonych rządowych wojsk, które w niejednym konflikcie wspierały już różne nacje. Poza tym byliśmy samowystarczalni. Bogactwa naturalne już dawno pozwoliły nam uniezależnić się od importu.

Mafia żyła zaś z lewych interesów międzyplanetarnych, prostytucji i kradzieży.

Nie byliśmy pasożytami wszechświata. Prawie ze wszystkimi żyliśmy w zgodzie. Stosunki dyplomatyczne zostały zerwane jedynie z dwoma układami. Pierwszy miał nam za złe, że nasze wojska, wynajęte przez ich sąsiadów, uczestniczyły w ataku na ich planety. Drugi zaś - Układ Słoneczny - był naszym dawnym domem. Tam uznawali nas za międzyplanetarnych terrorystów, ale też Ziemia nigdy nie poradziła sobie z problemem utraty kontroli nad koloniami.

Wszedłem do budynku i od razu skierowałem się na piętro. Nikt mnie nie zatrzymywał, miałem tu dość znaną twarz.

- Czekają już na pana, panie Dragulić - poinformował mnie żołnierz, stojący przed salą obrad.

Pokiwałem głową i otworzyłem drzwi. Sala była wielka. Na ścianach wisiały portrety wszystkich dotychczasowych premierów planety, oprawione w złote ramy, symbol przepychu. Rozejrzałem się po zebra-nych. Zwykle do rozmów ze mną wystarczał jeden, czasem dwóch ministrów. Dziś zebrał się prawie cały gabinet.

N'Gue, drugi w naszej historii czarnoskóry premier, wstał i gestem dłoni wskazał mi miejsce. Usiadłem pomiędzy ministrami zdrowia i finansów. Jakoś tak się złożyło, że to dla nich pracowałem najczęściej.

- No, Dragulić, podobno wracasz właśnie od Xiena?

- Miałem z nim do załatwienia interes. To sprawa jego Dzieci - pokazałem kikut.

- Tylko?

- To przesłuchanie? Jeśli nie, to przejdźmy do konkretów, bo mam rachunki do wyrównania.

- Jak chcesz. Wolf, twoja działka - N'Gue zwrócił się do ministra edukacji.

Wolf Skinderis zajmował się wszelkimi badaniami naukowymi, jakie prowadzono na planecie. Był w zasadzie koordynatorem kilku ministerstw. Whrew nazwie nie miał nic wspólnego z nauczaniem w szkołach.

- Znasz zapewne sprawę Vu?

- Co nieco. Kilka plotek, żadnych szczegółów ani potwierdzonych faktów. Coś odkryliście i straciliście nad tym kontrolę.

- Dokładnie. Coś, odkryliśmy, ale sami nie wiemy, co? Chcemy, byś się tego dowiedział. Potrzebujemy tego, co tam jest, oraz wszelkich wyników badań. Wiemy tylko tyle, że zostały zakończone pomyślnie.

- Pieprzenie - skwitowałem.

Premier kiwnął głową, przyzwalając na uchylene większego rąbka tajemnicy.

- Wysłaliśmy na Vu naszych naukowców. Jednak raporty były mętne, wspominali coś o jakichś urządzeniach niewiadomego przeznaczenia. Bez wątplenia były stare, sprzed setek tysięcy lat, zbudowane przez cywilizację obcą, choć humanoidalną czyli...

- Dwie ręce, dwie nogi i łeb na karku - przerwałem zbędne wyjaśnienia.

- Ogólnie rzecz ujmując - zgodził się Skinderis. - Najważniejsze jednak było to, że działały. Zażądali dzieci do badań. Wysłaliśmy im dwudziestkę. Zaczęli testować to, co znaleźli, i się zaczęło. Posłuchaj ostatniego nagrania z Vu.

Włączył odtwarzacz.

- ...*Nie wiem, jak długo uda mi się utrzymać przy życiu. Tu jest piekło, zabijają nas jednego po drugim. Sami się zabijamy. Wypuściliśmy poza bazę doktora Lacroix, może udało mu się przebić do was. Przyślijcie posiłki. Może zdążyście...*

- No i co? - spytał premier.

- Lacroix?

- Owszem, wyrwał się z księżycy, ale nie poleciał do domu, tylko zniknął gdzieś w kosmosie. Nasi najlepsi ludzie próbują go znaleźć, ale jak na razie bez rezultatu.

- Więc nie wiecie, co się tam stało?

- Nie. Ale wysłaliśmy dwa doborowe oddziały, które zamilkły wkrótce po zejściu na dół. Nie chcemy dalej tracić ludzi, więc zwracamy się do ciebie. Jeśli ty sobie nie poradzisz, to znaczy, że nikt tam nic nie wskóra.

- Dobra, a teraz pokażcie mi film z kamery, którą daliście tym oddziałom - poprosiłem. - I nie mówcie, że nie nagrywaliście ich akcji.

- Wolf! - N'Gue znów skinął przyzwalająco.

- Żołnierz z kamerą znajdował się na tyłach, przekaz był krótki. To wszystko, co mamy.

Na ekranie pojawił się ciemny obraz wnętrza podziemnej budowli. Zwarty szpaler oddziałów przechadzał się czujnie po korytarzu. W pewnym momencie zaczęli się krztusić.

- *Gaz! Maski włoż!* - usłyszałem rozkaz.

- *Jakieś, kurwa, pułapki?* - zdziwił się kamerzysta. Przez chwilę obraz pokazywał podłogę, później znów obiektyw patrzył w przód. Nagle coś mignęło na końcu korytarza. Flesz, ale nie wystrzął, choć mogłem się mylić. Jednak nikomu nic się nie stało. Ci, którzy stali na przedzie, oddali serię, ale trafiła ona w pustkę. Zobaczyłem to, gdy doszli do ściany przeoranej nabojami. Żadnych śladów krwi. Żadnego źródła trwającego przez chwilę błysku. To jednak, co się stało dalej, było dla mnie szokiem, a nieczęsto ktoś mnie zaskakuje. Jeden z żołnierzy strzelił sobie w łeb. Inny wbił sobie nóż w serce. Po kolei wszyscy popełniali samobójstwa. Jednym z ostatnich był operator, toteż mogłem obejrzeć sobie całą tę scenę dość dokładnie. Wraz z upadkiem kamerzysty obraz znikł.

- Widziałeś teraz wszystko, co o tym myślisz? - spytał Skinderis.

- Dziwne - skwitowałem.

- Tylko tyle?

- A co mam jeszcze dodać? Że pierwszy raz widzę takie coś? Znam wasze metody szkolenia. Totalna indoktrynacja przez hipnozę. Wskoczyliby dla was w ogień piekielny, zeżarliby własne matki, gdybyście im kazali, a oni takowe mieli. Jednak nie popełniliby samobójstwa. To chcecie usłyszeć? Dla mnie to jednak tylko dziwne. Coś ich do tego skłoniło. Wystarczy dowiedzieć się, co, i sprawa się wyjaśni.

- Jak zamierzasz się do tego zabrać?

- Najpierw chcę wiedzieć, za ile?

- Xien za informację dawał ci dychę. My dajemy trzy. Ale żadnych numerów z przekazywaniem Dziadkowi tego, co tam znajdziesz.

- Stary wie, że macie u niego podsłuch? - zaśmiałem się.

- Wiesz, że my sobie krzywdy nie zrobimy. Zgadzasz się?

- A czy odrzuciłbym tyle szmalu?

- Nigdy. No, więc co planujesz?

- Znaleźć doktorka, wypytać go, a potem polecieć na Vu. Proste, a co niby miałbym robić?

- Trzydzieści milionów to kupa forsy, więc tym razem stawiamy pewne warunki.

- Co znowu? - Nie spodobało mi się to.

- Polecisz tam z naszymi ludźmi.

- Wojskowe przyzwolitki? Zawsze pracuję sam.

- Nie tym razem. Wiesz, że tam jest coś wielkiego, a nie chcemy, byś jednak zapalał nagłe wielką miłością do Xiena.

- Dobra, ale nie chcę niańczyć całego oddziału.

- Czwórka ludzi. Oficer i trzech komandosów.

- Znam?

- Fizulin.

- Dobra, tyle że włączamy ich dopiero na Vu. Doktorka poszukam sam.

- Zgoda.

- Poza tym, skoro już wchodzimy paczką, to wezmę jeszcze kogoś od siebie.

- Kogo?

- Powiem wam później, jeszcze sam nie jestem pewien, ale nie chciałbym, aby z kolei Fiz przypomniał sobie o tym, jak bardzo się nie znosimy. Muszę mieć przeciwwagę.

N'Gue wstał i podał mi rękę.

- Musimy sobie ufać - powiedział.

Do perfekcyjnie zrozumiałem, co ma na myśli. To była największa różnica pomiędzy nimi a Mafią. Rząd kręcił i lawirował, ściemniał jak mógł, nie miał żadnych zasad. Byłem pewien, że Fiz dostał już rozkaz, by się mnie pozbyć w razie czego. Mafia natomiast była szczerą aż do bólu, i to dosłownie.

- Musimy - potwierdziłem i wyszedłem. Wsiadłem do auta i zacząłem analizować to, co wiem. Szybko ułożyłem sobie plan działania, po czym ruszyłem w stronę slumsów. Wszystko się nieco od rana zmieniło, poza tym, że nadal chciałem odzyskać forszę Suzan.

Bez trudu znalazłem miejsce, w którym ostatnio straciłem dłoń. Przeciętny obywatel zgubiłby się w tej plataninie uliczek. Ja jednak spędziłem tu kilka lat i znałem każdy centymetr dzielnicy. Zaparkowałem nieopodal, wyjąłem z bagażnika paralizator, na kikut nałożyłem bagnet, i tak uzbrojony ruszyłem w stronę budynku. Nie zamierzałem tracić czasu, tylko od razu wparowałem do środka. Szybko zlokalizowałem, gdzie są Dzieci. Dziewczyna dostrzegła mnie pierwsza i od razu chwyciła za pistolet. Gdyby cała trójka zareagowała tak szybko, mógłbym przeliczyć się z siłami. Trafiłem Siostrę idealnie i tylko przyjąłem do wiadomości, że rzuca się na podłogę w konwulsjach. Ten, który wczoraj ciął, rzucił się na mnie ze znanymi mi już obcęgami. Miał zamiar użyć ich tym razem jako maczugi. Wystarczył jednak mały unik i narzędzie śmignęło jedynie nad moja głową, bagnet zaś zanurzył się w jego kolanie. Jednocześnie strzeliłem do trzeciego z nich. Osilek, którego zraniłem, przyklęknął na uszkodzone kolano, by po chwili próbować rzucić się na mnie. Ja już jednak znów stałem i precyzyjnie uderzyłem go podeszwą w krtań. Zacharczał i zaczął się dusić. Poczekalem, aż mu przejdzie najgorsze, następnie z bliska uderzyłem promieniami mojej broni. Dziewczyna już leżała spokojnie, chłopcy jeszcze się miotali. Przykułem najpierw Siostrę, a potem obu Braci do krzesel i zapaliłem zasłużonego papierosa. Wiedziałem z doświadczenia, że nikotyna dawno nie wchłaniana przez organizm potrafi zagłuszyć objawy głodu mikainowego. Organizm więc znów się wyciszył, przynajmniej odrobinę. Obiecałem sobie, że zanim polecę na Vu zrobię sobie kurację, bo nie powinienem mieć tam chwil słabości; za dużo „przyjaciół” miało mi towarzyszyć.

Osilek jako pierwszy ocknął się, cały drżąc z zimna. Normalny objaw po wstrząsie. Musiał mieć silny organizm, bo na resztę musiałem czekać jeszcze dobrych parę minut.

- Czego chcesz? - spytał.

Przyłożyłem palec do ust, uciszając go. Nie zamierzałem powtarzać tego samego każdemu z osobna. Nie prosił nawet, bym znieczulił jego kolano, choć musiało go boleć, jak cholera. Ale po tym, co zrobił mi wczoraj, nie oczekiwał ode mnie łaski.

Kiedy już wszyscy doszli do siebie, uśmiechnąłem się szeroko i pomachałem im kikutem, na którym wciąż tkwił bagnet. Ten od komputerów zbladł. Reszta trzymała się dzielnie.

- Złamaliście zasady Kodeksu, zdajecie sobie sprawę z konsekwencji? - spytałem.

- Jeśli nas zabijesz, ty też będziesz wkrótce martwy - odparła hardo dziewczyna.

- Skąd ta pewność?

- Nie należysz do nas, a Mafia mści się za swoje Dzieci. Zawsze.

- Zgadza się, kotku, nie należę do organizacji, tyle że Dziadek czeka już na wasze uszy. Sporo za nie zapłaciłem.

- Bzdura - odparła, nadal pewna siebie, co było mile zaskakujące, zważywszy, że tym razem to ja byłem górą. - Jeśli nawet miałbyś układy z Dziadkiem, to on przysłałby swoich ludzi, żeby nas wykończyć. I to bez ceregieli. A ty jesteś co najwyżej dobrze wyszkolonym śmieciem z bogatej dzielnicy, który chce zdrzeć z Mafią. Nie ruszysz nas.

Przyszedł czas na udowodnienie swoich racji. Podeszedłem do przerażonego komputerowca i zatopiłem w jego szyi ostrze. Trysnęła krew, a ja spokojnie wróciłem na swoje miejsce, po drodze wycierając bagnet o ubranie dziewczyny.

- Kurwa, samobójca pieprzony... - Wreszcie zmiękła.

- Skoro już sobie wyjaśniliśmy, kto tu jest teraz szefem, opowiem wam kilka drobiazgów z dzisiejszego poranka. Po pierwsze, w trybie specjalnym mam do was prawa, jak zwykły członek waszej Rodziny. To w zamian za usługi jakie świadczyłem Mafii przez ostatnie lata. Z początku zamierzałem od razu was zabić, ale sprawy się nieco skomplikowały i mam dla was propozycję nie do odrzucenia. Lecę na Vu, wrecie, co to?

- Nie - odparli oboje.

- No, to nieważne. Lecę tam i potrzebuję odważnych ludzi. Tamten by się nie przydał, bo strasznie trząsł portkami, ale w was widzę iskrę bożą.

Oboje spojrzeli najpierw na martwego towarzysza, a potem na siebie.

- Macie wybór - kontynuowałem. - Jeśli przeżyjecie to, co na nas tam czeka, i jeśli będę z was zadowolony, wróćcie sobie spokojnie tutaj i dalej będziecie mogli kontynuować dotychczasową działalność. Jeśli mnie zawiedziecie, to wiecie sami... Ach, no i oczywiście jeśli pomyślicie o tym, by mnie wykończyć, to pamiętajcie, że tym razem zajmie się wami Dziadek. Więc?

- Ciekawe alternatywy - warknęła.

Udałem, że nie zwróciłem na to uwagi, ale słowo „alternatywy” tu, na ulicach, było nie tylko nie używane, ale raczej w ogóle nieznanne. Była albo sprytniejsza niż początkowo sądziłem, albo po prostu znała jakieś słowo nie z jej świata.

- Wchodzimy w to - zadeklarowała.

- Tak - poparł ją Brat.

- No, skoro się dogadaliśmy, to powiedzcie, jak się nazywacie.

- Jestem Luna, a to Młot. A ty?

- Mówią na mnie Drak.

- Kurwa... - wyrwało się Lunie. - Drakula?

Młot popatrzył na nią, zdziwiony jej wybuchem, a ja tylko potwierdziłem ruchem głowy.

- Myślałam, że jesteś tylko legendą.

- Jaką? - spytał Młot.

- No, co ty, nie wiesz? Ten Dzieciak, który chciał odejść z Mafii.

- Ten? Myślałem, że go zabili na Arenie.

- A ja z kolei słyszałam też wersję, że zabił wszystkich dziesięciu.

- Ośmiu, dwóm pozwoliłem żyć - odparłem nieskromnie.

- No, ale dosyć tych pierdoł. Jest jeszcze jeden drobiazg. Kasa tej suki, która ze mną tu była.

Wypłaciliście już zapewne?

- Tak, leży w walizce na górnej półce.

- Ile tego było?

- Milion siedemset.

- No, no. Przez waszą zachłanność straciłem na tym interesie. Ale, co tam, najważniejsza jest zabawa. -

Wstałem z krzesła i odpiąłem dziewczynie pasek z prawego przegubu.

- Biorę półtorej bańki. Za resztę kupcie sobie porządne ciuchy przeniescie się do innej dzielnicy, a ty się wylecz. Za kilka dni będę was potrzebował. Jak już wszystko załatwicie, to skontaktujcie się ze mną, tu macie numer na komunikator.

- Położyłem kartkę na stole i podszedłem do walizki. Odliczyłem pieniądze, zostawiłem resztę i spojrzałem na swój kikut.

- Dobrze to robisz - rzuciłem w stronę Młota. - Fachowo.

Kiwnął głową na potwierdzenie, ale jakoś tak bez satysfakcji. Może bardziej interesował się w tej chwili swoim kolanem niż pochwałą. Podszedłem do trupa i odciąłem mu ucho. To zwróciło na mnie ich uwagę. Nic jednak nie powiedzieli, ja też już miałem dość gadania. Po ciężkim dniu wreszcie mogłem wrócić do domu i „ukochanej” żony.

* * *

Ręka nie działała jeszcze tak sprawnie, jak bym sobie tego życzył, chyba się starzałem.

Zdażyłem zdobyć kilka ważnych informacji o sprawie. Dzieciaki też już były przygotowane, więc nadszedł czas, by włączyć je do akcji. Niepokoiło mnie jednak, że zaczynało mnie to wszystko coraz więcej kosztować.

Zapukałem do pokoju Luny. Otworzyła mi jakaś cizia w gustownym wdzianku. Dopiero po chwili rozpoznałem w niej Siostrę.

- Może być? - spytała.

- Ujdzie - odparłem.

Wszedłem do środka i rozwalilem się wygodnie w fotelu. Chwilę po mnie do pokoju wszedł Młot. Wciąż jeszcze kulał.

- Siadać. Pogadamy - rozkazałem.

Zajęli miejsca na sofie, półtora metra przede mną. Położyłem nogi na szklanym blacie stołu i zapaliłem papierosa.

- Luna. Lecisz ze mną, będziesz udawała moją żonę. Masz być głupią idiotką i za wiele się nie odzywać. Jestem bogatym biznesmenem z Vespero. Ty jesteś lalką. Masz kręcić tyłkiem. Wiesz, o co mi chodzi? Jak wyjdę, usiądziesz przy encyklopedii i wykujesz wszystko, co znajdziesz o tej wiecznie mrocznej planecie. Lecimy tam jutro wieczorem, bądź w porcie o szóstej. Piętnaste pole startowe. Młot, a ty nam dostarczysz do portu dokumenty. Dostaniesz je pod tym adresem. -Rzuciłem kartkę na stół. - Są już opłacone, więc nie

daj się na nic naciągnąć. Jak będą jakieś problemy, to zrób z nimi porządek, tylko nikogo nie zabijaj. Nie będę się za ciebie tłumaczył przed Dziadkiem. To wasi ludzie.

- Gdzie lecimy? - spytała Luna.

- Dowiesz się, jak przyjdzie na to czas. Masz więcej takich fatałaszków?

- Całą szafę. Tak jak chciałeś.

- Dobra, zabierz to wszystko.

Wstałem, rzuciłem niedopałek pod prawą nogę Młota.

- Zgaś przy okazji. Widzimy się jutro. Wyszedłem.

Wiedziałem, że życie nie jest proste,- ale ta sprawa była nadszpodziewanie trudna. Dziadek znał mnie lepiej niż ktokolwiek inny. Zdawał sobie sprawę, że moje banki informacji były czasem lepiej poinformowane niż jego, szczególnie gdy problem wykraczał poza nasz układ. A przez doktorka z tym właśnie miałem do czynienia. Uciekł w nieznanym kierunku. Skoro rząd go jeszcze nie znalazł, to albo wyrwał się poza znany kosmos, albo też zadekował się w jedynym miejscu, gdzie nie sięgały macki naszej władzy - w Układzie Słonecznym. Zasięgnąłem języka i dowiedziałem się, że Lacroix wylądował na Marsie. Dostałem nawet nazwę hotelu i numer pokoju, stale pilnowanego przez kilku uzbrojonych strażników. Ile za to zapłaciłem - nawet nie wspomnę, dość powiedzieć, że oferta Xiena ledwie pokrywała koszty całego przedsięwzięcia.

Za mojego życia tylko dwie osoby z naszej planety zdołały dostać się na Ziemię. Jednym był Fizulin, drugim - ja. To od tamtej pory nie darzymy się sympatią.

Na zlecenie Dziadka miałem zdobyć przepis na jakiś farmaceutyk, nad którym pracowali i nasi naukowcy. Ziemia prawie już skończyła, my wciąż byliśmy w lesie. Rząd nie chciał, by przełamano nasz monopol, więc wysłali tam Fiza. Dziadek wolał go zdobyć pierwszy i odsprzedać Rządowi za procent z udziałów. Poleciliśmy osobno, ale na Ziemi mieliśmy starcie. Wystawiłem Fiza policji, sam zaś załatwiłem sprawę. Puściłem z dymem całe laboratorium, a dane wziąłem ze sobą. Niestety, Fiz wyrwał się jakimś cudem i postanowił dorwać mnie w drodze powrotnej. To była jedyna pomyłka, jaką w życiu popełniłem; nauczyłem się wówczas doceniać przeciwnika. Straciłem płuco, część dokumentacji, a co za tym idzie, większą część wynagrodzenia. Prawie cała kasa za to zlecenie i tak poszła na leczenie, a Układ Słoneczny stał się dla nas jeszcze bardziej niedostępny. Ja jednak od lat przygotowywałem się do powrotu tam. Z niemałym trudem stworzyłem sobie dwie bardzo realistyczne osobowości na dwóch planetach, mających dobre układy z Ziemią. Za obie zapłaciłem przeszło pięć milionów i zrobiłem masę przysług miejscowym dygnitarzom, ale za kilkadziesiąt baniek warto było spalić jedną z nich. Liczyłem bowiem, że będzie to więcej niż wspomniane trzydzieści, przypuszczałem też, że Mafia zacznie się licytować z Rządem, jak tylko spłyną pierwsze informacje, o co właściwie chodzi. Jeśli jednak się myliłem, to najwyżej koszty zwrócą mi się z nawiązką, no i będę miał trochę rozrywki.

Oboje z Luną stawili się na czas. Młot stwierdził, że kłopotów nie było. Dałem Lunie jej dokumenty. Chwilowo byliśmy mieszkańcami pustynnego Homoku. W ten sposób bez trudu mogliśmy się dostać na Vespero.

Nadal nic jej nie mówiłem o prawdziwym celu podróży; im mniej wiedziała o poszczególnych etapach, tym pewniej się przy niej czułem.

Wylądowaliśmy w Dogano, niewielkiej miejscowości oddalonej kilka kilometrów od stolicy. Było to właściwie miasteczko celne. Odprawa trwała tu długo, a wszyscy przyjezdni byli solidnie sprawdzani. Jednak wolałem przejść dwie dokładne kontrole, najpierw tu, a potem na Marsie, niż jedną bardzo szczegółową tam. Celnicy z Układu Słonecznego mieli zaufanie do Ve-sperańczyków. Byliśmy czyści, nie wwoziliśmy nic nielegalnego, toteż już następnego dnia opuściliśmy z Luną Dogano. Udałem się do mojej posiadłości w Koro i przeistoczyłem się w Artusa Malhelę. Następnego dnia wziąłem z Luną ślub w tutejszym kościele, a dwa dni później otrzymała swój całkiem prawdziwy vespe-rański paszport. Tak przygotowani mogliśmy udać się w naszą podróż poślubną do Układu Słonecznego.

Lot luksusowym jachtem najwyraźniej dziewczynie zaimponował, bo była strasznie podniecona. Zaczęła się do mnie przymilać, na co kazałem jej się odpieprzyć. Nie była zła, miała może trochę za małe piersi, jak na lalkę bogacza, ale ogólnie wyglądała całkiem nieźle. Pewnie skusiłbym się na numerka, gdyby nie to, że nie zamierzałem bawić się w amanta. Miałem parę ważniejszych spraw na głowie, jak choćby pozbywanie się głodu mikainowego, który na szczęście już prawie mi nie dokuczał. Luna nauczyła się też nie wypytywać mnie o moją przeszłość i metody pracy. Była na to zbyt inteligentna.

Miała predyspozycje, by znaleźć się w tym fachu. Była kobietą, co niewątpliwie stanowiło atut, którego nie posiadałem. Nie chciałem więc robić sobie konkurencji. Nie wiedziałem bowiem jeszcze, czy w końcu

zabiję ją i Młota? Decyzję chciałem podjąć później. Musiałem ocenić, w jakim stopniu mogliby być dla mnie niebezpieczni w przyszłości.

Kiedy zbliżyliśmy się do Układu Słonecznego, już zaczął się kocioł. Jednak jako Vesperańczycy i tak mieliśmy ułatwione zadanie. Dla statków Unii stworzono specjalny korytarz, z jedną tylko pobieżną kontrolą. Statki spoza Unii miały tych kontroli kilka. W miarę szybko znaleźliśmy się na orbicie Marsa, a następnie wylądowaliśmy w Red City, przepięknym, jak wynikało z folderów; ośrodku turystycznym. Całe centrum miasta składało się z hoteli, restauracji i innych miejsc rozrywki. Zanim jednak udało nam się wyjść z portu, przeszliśmy gruntowne badania. Osobowość miałem nieskazitelną, Luna zaś nie miała nigdzie żadnej kartoteki i wszystko prawie by się udało, gdyby nie to, że na jednym z jej spakowanych ubrań znaleziono pyłki jakichś roślin, pochodzące z naszego rodzinnego Wuhanu. Powiedziała, że stosowała środki antykoncepcyjne sprowadzane stamtąd. Jej błyskawiczna reakcja mile mnie zaskoczyła. Bo przyznam, że sam mogłbym na to tak szybko nie wpaść. To tylko potwierdziło moje przypuszczenia, że jest bardziej sprytna, niż mogłoby to wyglądać. Ułatwiła mi też zadanie, utwierdzając w przekonaniu, że jej ucho musi się znaleźć w bogatej kolekcji Dziadka. Ale na razie była mi potrzebna.

Kiedy już zakwaterowaliśmy się w pokoju piętro niżej, niż więziono Lacroixa, wyjaśniłem bardzo podekscytowanej wizytą w Układzie Słonecznym dziewczynie cel naszego pobytu tutaj. Opisałem jej pobieżnie to, co do tej pory wiedziałem, i ustaliliśmy kroki, jakie należy poczynić, bym mógł swobodnie rozmówić się z doktorkiem.

Mieszkał w dwupokojowym apartamencie. Jeden, jak się dowiedziałem, zajmowali trzej strażnicy, drugi - mój rodak. Należało więc przede wszystkim wyeliminować policję. Nie było to takie proste, nie mogłem liczyć na zdobycie tu żadnej broni. Posiadanie takowej przez osoby nie pracujące w służbach planetarnych groziło śmiercią. Zresztą, na Ziemi, Marsie, czy sztucznych stacjach kosmicznych, wszelka przestępczość została już dawno wyeliminowana. Nie oznaczało to jednak, że policja była tu mniej czujna. Musiałem więc zdobyć broń inną drogą. I tu ważną rolę miała odegrać Luna.

Już pierwszego wieczoru odegraliśmy w hotelowej restauracji przepiękną scenkę upicia się. Byliśmy hałaśliwi i trochę nieprzyjemni dla otoczenia. Jako że szastałem kasą na lewo i prawo, starano się nie zwracać na nas specjalnej uwagi. Wróciliśmy do siebie staniając się na nogach. W naszym apartamencie nie było kamer, więc w środku nie musieliśmy już udawać. Jedno było pewne. Skrupulatna straż hotelowa odnotowała ten wybryk w raporcie, który musiał dotrzeć do strażników Lacroixa. To było dość istotne, by akcja Luny sprawiała wrażenie wiarygodnej.

Następnego wieczora znów znaleźliśmy się w restauracji, gdzie powtórzyliśmy ekscesy, tyle że tym razem zakończyliśmy je ostrą wymianą zdań, po której obrażona Luna poszła sama do pokoju. Teraz musiałem liczyć na nią. Niedługo potem sam udałem się niepewnym krokiem do siebie. Po kilku minutach oczekiwań usłyszałem głośne pukanie do drzwi. Stałem z rękoma schowanymi za plecy. W następnej chwili drzwi się otworzyły, a dwaj policjanci wprowadzili szarpiącą się i cuchnącą wylanym na siebie uprzednio alkoholem dziewczynę.

- To pańska żona? - spytał jeden z nich. - Puśćcie tę sukę! - ryknąłem.

Posłuchali, Luna upadła na podłogę, jednocześnie pokazując im nagi i kształtny tyłek wystający spod mini sukienki. Nawet jeśli obaj byliby pedałami, i tak musiało to na chwilę zwrócić ich uwagę. To musiało mi wystarczyć. Nie zdążyli nawet zareagować, gdy dwa dobrze wyważone noże poleciały w kierunku ich grdyk. Ten z lewej ręki trafił do celu idealnie. Prawa, wciąż jeszcze nie do końca sprawna, chybiła o parę centymetrów, wbijając się w prawe ramię policjanta. Luna jednak i tym razem wykazała się bystrością umysłu i krótkim czasem reakcji, zanim obaj zdążyliśmy zareagować, wyrwała nóż z szyi tego drugiego i dokończyła dzieła za mnie. Zabraliśmy im broń.

- Nic nie podejrzewali. Uznali, że pomyliłam pokoje. Wdarłam się do środka i nie chciałam wyjść. Musieli mnie tu przytargać we dwóch. Tak jak chciałeś.

- Świetnie. Załatw ciemność, a ja idę na górę. Dziewczyna zarzuciła coś na siebie, by nie było widać na jej ubraniu śladów krwi, a ja ruszyłem piętro wyżej. Luna miała się dostać do skrzynki energetycznej i zalać ją wodą. To miało wyłączyć prąd w całym hotelu, a co za tym idzie i kamery, niewątpliwie zainstalowane w apartamentach Lacroixa. Na sukces tej misji składało się jak dla mnie nieco za dużo czynników, ale zaczynałem ufać Lunie. Jak dotąd nie spotkałem jeszcze tak zdolnego amatora. Już się nie dziwiłem, że została Starszą Siostrą.

Niedługo później światła zgasły, a ja spokojnie wszedłem do pokoju strażników.

- To wy? - na swoje nieszczęście spytał policjant. Na ślepo władowałem w jego kierunku trzy kule. Po

dźwiękach, jakie wydał, stwierdziłem, że co najmniej dwie trafiły do celu. Nie wiedziałem, jakiego był wzrostu, toteż okazało się, że jedna przeszła za wysoko, druga trafiła go w twarz, a trzecia w mostek. Teraz przyszedł czas na doktorka, który wyszedł ze swego pokoju sprawdzić, co to były za hałasy.

- Masz pozdrowienia od premiera N'Gue... - powiedziałem, przytykając mu łufę do oka.

- Nie zabijaj mnie... Zapłacę ci. Mam odłożone kilkaset tysięcy w banku w Alveno.

- Wiesz, że muszę przywieźć mu dowód, że cię dorwałem.

- To obetnij mi uszy, ale zostaw głowę!

- Pomyślę o tym, ale muszę wiedzieć, co się wydarzyło na Vu. Jeśli uznam, że mówisz prawdę, zastanowię się, - co z tobą zrobić... Bo, jak widzisz, dorwę cię wszędzie, nawet na Ziemi. Mów krótko i treściwie.

- Na Vu odkryliśmy pozostałości po jakiejś nieznannej nam cywilizacji. Ślady istot podobnych do nas. Podejrzewamy, że byli to nasi przodkowie; słyszałeś o teorii von Dänikena?

- Coś mi się obojętne o uszy. Konkrety!

Mieliśmy ich DNA i kilka przedmiotów nieznanego przeznaczenia. O niektórych nie dowiedzieliśmy się nic, aż do mojej ucieczki. Postanowiliśmy wprowadzić do organizmów ludzkich DNA Obcych. Liczyliśmy na pamięć genetyczną. Rząd podesał nam kilkoro dzieci z państwowych sierocińców. Zadziało. Dzieciaki się zmutowały, ale obce geny wzięły górę. Zaczęły nam wyjaśniać działanie niektórych urządzeń obcych, w tym czegoś, co stanowiło ich najniebezpieczniejszą broń. Wszystko skończyłoby się dobrze, gdyby nie to, że nad jednym z dzieci straciliśmy kontrolę. Zaczął się koszmar. Część z nich zabiliśmy, ale reszta po kolei nas dopadała. Udało nam się wysłać wiadomość na Wuhan, a ja w tym czasie wyrwałem się z Vu.

Początkowo chciałem polecieć do domu, ale zrozumiałem, że ta broń nie powinna trafić w ręce naszych przywódców. Musiałem ją przekazać komuś, kto byłby w stanie uchronić przed nią nas samych. Dlatego wolałem się dostać na Ziemię. Tylko w ten sposób mogłem uratować świat. Za kilka dni miałem zostać przewieziony do kolebki ludzkości i tam, przed ich decydentami, wszystko to wyznać. Błagam, nie powinienesz wiedzieć, czym to jest. To najstraszniejsza broń, jaką możesz sobie wyobrazić. Nawet nie chcę myśleć, co by się stało, gdyby posiadał ją ktoś niepowołany.

- Nie pieprz mi tu ogólników, tylko mów, co to jest i jak się przed tym obronić!

- Przed tym nie ma obrony. Wszyscy jesteśmy istotami ludzkimi i jesteśmy na nią podatni. Jedni mniej, inni bardziej, ale od tego nie ma wyjątków. Uwierz mi, nie zechcesz wiedzieć, czym ona jest.

Celnym kopnięciem złamałem mu rękę. Zawył z bólu, no i zdecydował się powiedzieć. Miękki był.

Przyznaję, że byłem zaskoczony. Coś za często mi się to ostatnio zdarzało. A jednak nie miałem powodów, by mu nie wierzyć. Widziałem przecież film z akcji ratunkowej, który był dokładnie tym, co opisał mi Lacroix.

Odciałem trupowi ucho. Musiałem coś pokazać N'Gue. Doktorek wydawał się niegłupim gościem, a nie wiedział, że po krótkich badaniach łatwo rozpoznać czy odcięto ucho przed, czy po śmierci osoby.

Teraz należało się śpieszyć. Umyłem ręce i zbiegłem po schodach do zaparkowanego przed hotelem poduszkiowca.

- Co tak długo? - warknęła nieco zdenerwowana Luna.

- Zamknij się i jedź - odwarknąłem zmieniając ubranie.

Ruszyła. Ogień podłożony w pokoju Lacroixa zaczął rozświetlać budynek. Po chwili usłyszeliśmy za sobą jeszcze wybuch. To uświadomiło mi, że Luna również wywiązała się z zadania wysadzenia instalacji gazowej. Naprawdę bystra dziewczyna.

Kolejnym problemem było wydostanie się z Marsa. Na szczęście nie musieliśmy już działać w białych rękawiczkach. Zamieszanie, jakie wywołaliśmy w hotelu, sprawiło, że większość jednostek policji pojechała tam właśnie. Do portu weszliśmy od tyłu. Odezwał się co prawda alarm, ale mieliśmy niewielką przewagę. Czujność czujnością, a doświadczenie z terrorystami to zupełnie inna sprawa. Zanim dobiegliśmy do statku, zagroził nam drogę jeden dwuosobowy patrol policji. Nie przypuszczali, że mamy broń, a ja mogłem się przekonać, że kolejną zaletą Luni było celne oko i pewna ręka. Wystartowaliśmy bez przeszkód, choć po chwili ruszyły za nami w pościg dwa międzyukładowe patrolowce. Jednak nasz jacht był znacznie zwinniejszy i odrobinę szybszy. Poza tym byłem doświadczonym pilotem. Ich statki osiągały maksymalnie 14C, nasz był o blisko dwie prędkości światła szybszy. Żeby to przeżyć, trzeba umiejętnie i powoli przyspieszać. Nasza planeta była dużo większa niż Ziemia, więc kilka G więcej nie stanowiło dla nas żadnego problemu, w porównaniu z możliwościami Marsjan. Wyprzedziliśmy ich znacznie już na starcie. Bałem się jedynie rozrzuconych po układzie patroli. Co chwila zmieniałem tor lotu, co, jak widziałem, przyprawiło Lunę o torsje. Nie chciałem, by już teraz odwaliała kitę, ale jeśli chciałem wyjść z tego cało, to za jedyną słuszną musiałem przyjąć moją granicę wytrzymałości.

Mimo moich starań, gdzieś w okolicy orbity Saturna złapaliśmy rozpedzony ogon. Gnojek za sterami był twardy jak skała, nie chciał dać się zgubić. Marzyłem, żeby wydostać się poza Układ Słoneczny. Jak przypuszczałem, już trwały negocjacje z sąsiadami o udostępnienie tutejszym siłom prawa wlotu w ich przestrzeń kosmiczną. Ale takie decyzje nie zapadały w ułamku sekundy. Potrzebna była zgoda prezydenta układu. Logicznym było, że wybrałem taki, który miał najgorsze stosunki z Ziemią. To powinno odwlec sprawę o kilka godzin. Potrzebowałem ich jeszcze ze dwie.

Tymczasem gamoń zaczął do nas strzelać. Miał co prawda lekko opóźniony obraz naszego statku, toteż jego komputer pokładowy nie radził sobie z moimi manewrami. Mimo to jeden z pocisków bardzo nadweźzył naszą osłonę magnetyczną, nie wyrządzając jednak poważniejszych szkód. My, niestety, nie byliśmy uzbrojeni, nad czym bardzo bolałem.

Luna dawno już straciła przytomność, jednak nie miałem czasu sprawdzić, czy żyje. Mnie od tego przyspieszenia też zaczęły już drzeć ręce. Nie byłem pewien, jak długo jeszcze będę mógł wytrzymać przeciążenia bez poważniejszej utraty zdolności ruchowych, w tej chwili absolutnie niezbędnych. Liczyłem na to, że i mój przeciwnik tego nie wytrzyma. I rzeczywiście, w pewnym momencie zaczął zwalniać. Wolałem się nie upewniać, czy była to oznaka słabości, czy fakt, że nie dostali jeszcze zgody na przekroczenie granic. Ja zrobiłem to bez niczyjej zgody i odsapnąłem z ulgą. Włączyłem autopilota na kurs prowadzący do domu. Przy tej prędkości nikt nie powinien móc nas dopaść. Musieliby się od nowa rozpędzać.

Luna żyła, choć nadawała się jedynie do hospitalizacji; miała migotanie przedsionków. Rozpocząłem reanimację. Była to ciekawa odmiana po zabijaniu. Ułożyłem ją w medboksie i zacząłem odświeżać sobie w pamięci wszystkie konieczne kroki, by przywrócić ją do zdrowia. Po kilkunastu minutach stan dziewczyny ustabilizował się na tyle, że mogłem odsapnąć. Zasnąłem, bo za kilkanaście godzin czekał mnie manewr hamowania. Nie mógł być już tak drastyczny.

Luna całkowicie doszła do siebie, gdy już wyhamowaliśmy do 1C. Dobrze było znów odbijać światło w czasie rzeczywistym.

- Uratowałeś mi życie po tym, jak o mało mnie nie zabiłeś, to miłe z twojej strony - rzuciła podziękowanie.

- Twarda z ciebie suka - odpowiedziałem komplementem, co nieczęsto mi się zdarzało; czyżbym stawał się sentymentalny?

Chyba ją polubiłem. Znów zaczynałem mieć wątpliwości czy ją zabić, czy nie? Zwykle działałem sam, ale jako duet spisaliśmy się bez zarzutu. *Tres faciunt collegium...* Przesądziłoby to los Młota. Troje to już podstawa do założenia własnej organizacji, Xienowi by się to z pewnością nie spodobało. Lunę mógłbym wyciągnąć z Mafii za odpowiednią opłatą. To by się dało jakoś załatwić. Póki co jednak zamierzałem ją jeszcze trochę poobserwować.

Lądowanie przebiegło bez zarzutu. Już w porcie powitała nas delegacja rządowa ze Skinderisem na czele.

- Cały świat huczy już od kilku dni po tym, co się wydarzyło na Marsie. Mieli tam niezły pożar. Zanim ugasili ogień, spłonęło jeszcze kilka pobliskich budynków. Od razu wiedziałem, że to twoja robota. To chyba twój znak firmowy, co? Jeszcze jako dziecko spaliłeś swój sierociniec.

- Opowiesz mi o tym, Draku? - spytała Luna.

- Potem. Co jeszcze słyszeliście?

- W zasadzie nic. Tyle że puścili się za Sprawcą pożaru w pogoń i zadali mu poważne obrażenia. Uznali, że zginął w kosmosie.

- He, he. Ale z nich łgarze. Drasnęli nas tylko.

- Powiedz, kim jest ta młoda dama?

- Luna. Kociak o pazurkach smoka. Będzie moim wsparciem na Vu. Jeśli możecie, to zapewnijcie jej ochronę, bo bez niej nie polecę... Jest mi bardzo droga.

- Oczywiście. Chętnie pomożemy - odparł uśmiechnięty minister, nawet powieka mu nie zadrzała.

Nie wątpiłem ani przez chwilę, że najchętniej załatwiłby ją przy pierwszej okazji. Była płotką, więc Xien przymknąłby oko za jakąś drobną opłatą na rzecz organizacji. Natomiast ja zostałbym pozbawiony członka swojej drużyny.

- Znalazłeś Lacroixa?

- Tu jest jego ucho.

- Jak zwykle można na ciebie liczyć. Co ci powiedział?

- Będziemy gadać o tym tutaj?

- Oczywiście, że nie, zaraz zwołam zebranie gabinetu. Zapraszam do limuzyny. Pani pozwoli...

- O, nie. Luna jedź do domu. Niech trochę odpocznie. Ma dość przeżyć jak na jej siły.

Dziewczyna spojrzała na mnie z wyrzutem. Myślałem, że puści do mnie jakiś nieprzyjemny tekst, ale ograniczyła się tylko do: „Masz rację, czuję się zmęczona”.

W sali posiedzeń Rządu czekali już na nas wszyscy pozostali ministrowie. Zdałem im ogólnie relację z mojego pobytu w Układzie Słonecznym, przekazałem słowa doktorka, opuszczając jedynie informacje na temat zasad działania broni Obcych. Wolałem być jedyną osobą, która to wie. Za bardzo by się podniecili, a ja nie byłem jeszcze do końca pewien, jak mam wszystko rozegrać, by zgarnąć maksymalny szmal.

Nie byli specjalnie zadowoleni z mojego raportu, ale z drugiej strony uspokoiła ich wieść o śmierci zdrajcy Lacroixa, zanim ten zdążył opowiedzieć wszystko władzom Układu Słonecznego.

Wróciłem do domu, z którego Suzie już dawno się wyprowadziła. Rozwód, jak się dowiedziałem z oficjalnego pisma, miał mnie kosztować moją letnią posiadłość na drugiej półkuli, trzy miliony i pokrycie kosztów leczenia. Trochę tego było za wiele, jak na mój gust, i gdyby nie moje aktualne zajęcie, pewnie wniósłbym apelację. Jednak według wstępnych kalkulacji mogłem na Vu zarobić mniej więcej pięćdziesiąt sześćdziesiąt baniek. Przelałem więc pieniądze Suzie na jej konto. Koszty stworzenia odrostów pokryłem wcześniej. Już pewnie znów miała dłoń i stopę. Ale malutkie blizny miały jej przypominać o wspólnej przygodzie jeszcze przez długie lata. Byłem pewien, że jej narcystyczna osobowość cierpi najbardziej właśnie z tego powodu.

Po załatwieniu spraw formalnych upiłem się do nieprzytomności. Tylko w ten sposób mogłem się prawdziwie zrelaksować i nie myśleć o przyszłości.

Uzbrojeni po zęby, zarówno my jak i ludzie Fiza, zmierzaliśmy na Vu.

- Draku, powiedz, jak to było z tym sierocińcem? - nękała mnie Luna. - Przecież za coś takiego Dziadek zabiłby cię od razu!

- Początkowo trafiłem do sierocińca kontrolowanego przez jakiś Kościół. Chcieli zrobić ze mnie świętoszka i wprowadzali w tym celu dyscyplinę. Gdy uznałem, że przesadzili, puściłem z dymem budynek z całą kadrą zamkniętą w środku.

- A dzieciaki?

- Parę uciekło. Nie liczyłem. Dzięki temu trafiłem pod skrzydła Mafii. Tam podobało mi się dużo bardziej. Nauczyli mnie Kodeksu, puścili na ulicę. Szybko zostałem Starszym Bratem. Tyle że w końcu i to mi się znudziło. Nie lubię, jak jestem ograniczany, a Kodeks za bardzo ingerował w moje poczynania. Wiesz coś o tym. Złamałaś go wtedy, jak mnie dopadliście. Postanowiłem zacząć działać na własną rękę. Wcześniej musiałem wyjść na Arenę i pokonać dziesięciu uzbrojonych w maczety gości. Ja byłem bezbronny. Zresztą, pewnie znasz tę zasadę. Jeden nawet mnie drasnął.

Byłeś pierwszym, który postanowił odejść. Potem jeszcze kilku próbowało, ale im nie wyszło...

- Co? Też chcesz odejść? Raczej nie masz szans na Arenie. Nie myśl, że uważam cię za słabą, ale jeszcze trochę ci brakuje.

- Wiem... A co było potem?

- Zacząłem pracować dla Xiena i dla Rządu. Można na tym nieźle zarobić. Ty też masz do tego predyspozycje. No, dość gadania. Zawołaj wszystkich, Fiza też. Musimy ustalić metody działania.

Powiedziałem im o pułapkach gazowych i o mutacjach Obcych, stworzonych przez naukowców. Po tym, co powiedział mi Lacroix, nie wróżyłem moim współtowarzyszom długiego życia. Była więc okazja pozbyć się Fiza. Gdyby Rząd stracił swojego najlepszego człowieka, dużo tańszego ode mnie, stałbym się niezastąpiony także dla nich, a to oznaczało większe zyski i możliwość negocjowania wynagrodzeń. Młot także przy okazji poszedłby w odstawkę. Co do Luni, nie wiedziałem, czy jest na to odporna, trochę bałem się też o siebie, chociaż jeśli bym nie był, to zawiódłbym siebie strasznie. W tak delikatnej materii nigdy nie ma się całkowitej pewności.

Wylądowaliśmy. W kombinezonach próżniowych przy znacznie mniejszej grawitacji poruszanie się nie było zbyt łatwe. Nie pomagały w tym nawet ogromne obciążenia, jakie skafandry posiadały. Luna i Młot mieli takie coś na sobie pierwszy raz i musiałem ich pilnować, by mi się za szybko nie pozabijali. Po wejściu do korytarzy prawie nas wbiło w podłogę sztuczne ciężenie. Zrzuciliśmy z siebie zbędne ciuchy

I w milczeniu ruszyliśmy przed siebie. Ja z Fizem szliśmy na czele, za nami nasi ludzie. Wszyscy mieliśmy maski gazowe i przygotowaną broń.

Detektor ruchu ożył. To sprytnie urządzenie było podręcznym radarem, niezbędnym w naszej misji. Zaciemnione korytarze sprawiały, że atmosfera była gęstsza niż w rzeczywistości. Prawie słyszałem bicie serc pozostałych. Może prócz Fiza, to bydlę niczego się nie bało. Ale był lojalnym żołnierzem wobec Rządu. W tym tkwiła jego słabość, która stanowiła dowód, że wkrótce rozstanie się z życiem i to bez udziału mojej pomocnej dłoni.

Ruchem ręki nakazałem zatrzymać się, naszykowaliśmy broń. W odpowiednim momencie wystrzeliliśmy serię. Jednocześnie coś przed nami błysnęło. Nim inni zdążyli zareagować, już padłem na ziemię, powalając jednocześnie Lunę. Chwilę po nas leżała też reszta. O ile my mieliśmy jakąś szansę, to byłem pewien, że pozostających to „coś” dosięgło.

Ponieważ z przodu nie odezwało się nic więcej, ostrożnie ruszyliśmy naprzód. U wylotu korytarza leżały zwłoki Obcego. Nie różnił się od nas niczym szczególnym, ręce miał może trochę za krótkie, no ale był przecież mieszańcem dwóch pokrewnych gatunków. I w tych przykrótkich rękach trzymał jakieś niewielkie urządzenie. To musiało być to, czego szukałem. Teraz miałem naocznie się przekonać, jak działa broń Obcych. Bo jej użycie właśnie zaczynało przynosić efekty. Młot dźgnął się nożem w serce, trzej komandosi Fiza wystrzelili w siebie serie z automatów. Sam Fuzulin trzymał się dłużej, ale w końcu i on się poddał. Wsadził sobie pistolet w usta, a chwilę później jego mózg można było zbierać ze ścian.

Z niepokojem patrzyłem na Lunę. Klękła przy Młocie. Zerwała maskę gazową i zobaczyłem, jak łzy cieką jej po twarzy.

- To ja go zabiłam... - zaszlochała. - Gdybym nie złamała Kodeksu... Nie zmusiłbyś nas, żebyśmy tu przylecieli. On nie chciał cię ranić. To ja... Ja jestem temu winna. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Był dla mnie jak brat...

Zrobiło mi się jej żal. Nie wiedziała przecież, że on i tak prędzej czy później by zginął.

- Jestem potworem... - ciągnęła Luna. Poglądziłem ją po włosach w geście współczucia.

- Jesteś dla mnie taki dobry, a ja... - załkała.

Nagle oboje się otrząsnęliśmy. Cofnąłem rękę, a Luna szybko podniosła się z kolan. Popatrzyliśmy na siebie z niedowierzaniem.

- Czy ja całkiem zgłupiałam?

Kopnęła zwłoki Młota w głowę, co przyniosło jej prawdziwą ulgę. Postanowiłem tego nie komentować. Wyjąłem urządzenie z rąk Obcego i wepchnąłem do kieszeni.

- Mamy, co chcieliśmy - stwierdziłem. - Powinniśmy zebrać jeszcze dokumentację, ale mam wrażenie, że jest tu dla nas zbyt niebezpiecznie. Ta ich broń tylko nas musnęła, a zachowywaliśmy się jak skończeni debile. Wiesz, że było mi przykro, kiedy tak wyłaś? To niedorzeczne...

- Chcesz to tak zostawić?

- Spuścimy na bazę kilka atomów. Lepiej ją zniszczyć.. Jeszcze skusiliby mnie, by znów tu po coś przylecieć. A ja nie chcę skończyć jak Fiz. Nie mam pewności, ilu ich tu jeszcze z tym biega, zapomniałem spytać doktora. - To akurat rzeczywiście sobie zarzucałem.

- Co to właściwie było?

- Nie wiem - skłamałem. - Spieprzajmy stąd.

Ruszyliśmy pędem do wyjścia. Właśnie wpadłem na kolejny genialny pomysł. To, co miałem w rękach, sprawiłoby, że ja przestałbym już być potrzebny. Z taką bronią nawet byle gamoń mógł zabić każdego. Lacroix miał rację, mówiąc, że to nie powinno wpaść w niepowołane ręce. Ani Xien, ani N'Gue nie mogli tego mieć. Ja zaś tego nie potrzebowałem. Byłem wystarczająco zabójczy i bez takich urządzeń. Całkiem przekonany o tym byłem dopiero, gdy wróciliśmy na statek i zdjąłem skafander. Włączyłem sztuczne ciężenie i straciłem przytomność.

Ocknąłem się dość dokładnie skrupowany liną. Luna stała nade mną i uśmiechała się figlarnie. W rękach trzymała urządzenie Obcych. Do trzech razy sztuka, pomyślałem. Trzeci raz coś mnie zaskoczyło, i tym razem raczej już ostatni w życiu. Nie miałem wątpliwości, że Luna nie zadawałaby sobie tyle trudu, by uprawiać ze mną sadomasochistyczny seks. Zastanawiałem się tylko, po co czekała, bym się ocknął? Ja bym to załatwił od ręki. Była jeszcze zbyt niedoświadczona. Chyba, że...

- O co ci chodzi? - spytałem. - Chcesz mieć pewność, że cię nie zabiję? I tak nie miałem takiego zamiaru. Liczyłem, że staniemy się duetem, dobrze mi się z tobą współpracowało.

- Jakiś ty uprzejmy... Ja też nie narzekam, ale chyba uznałam, że czas się usamodzielnic. Dwóch płatnych zabójców na jednej planecie to o połowę mniejsze zyski. Nie pomyślałeś o tym?

- Nie zapomnij, że wciąż jesteś Dzieckiem Ulicy, należysz do Mafii. Nawet z tym, co trzymasz w ręku, nie pokonasz ich wszystkich. W końcu ktoś walnie cię w łeb czymś twardym, i skończysz jak ja.

- No widzisz. Dogadałam się z Dziadkiem. Wolność za to, co tu znajdziemy. I obiecał dorzucić pół miliona na dobry początek naszej współpracy. Bał się, że za bardzo skumałeś się w tej sprawie z N'Gue. Chciał mieć pewność.

- Wolność też miałem ci opłacić.

- Wierzę, ale spotkałam się również z twoją żonką. O, przepraszam, eks-żonką. Chyba cię bardzo nie lubi. Za wyłączenie cię z gry zainkasowałam już od niej dwie bańki. Obrotna jestem, co?

- Widzę, że sam sfinansowałem własną śmierć. No, dobra, czego jeszcze chcesz?

- Uznałam, że śmierć z mojej ręki byłaby mimo wszystko policzkiem dla ciebie. Ktoś taki jak ty powinien zostać zabity przez kogoś równego sobie. Jesteś najlepszy, więc w grę wchodzi tylko twoje samobójstwo. A ja mam też ochotę pobawić się tą zabawką, bo wkrótce będzie należeć do Dziadka. Tak więc...

Nacisnęła jedyny przycisk na obudowie urządzenia. Zobaczyłem znajomy błysk i czekałem na swoją reakcję. Po kilkunastu sekundach poczułem, jak łzy spływają mi z oczu. Zrobiło mi się przykro, że Luna tak mnie nienawidziła. Rozcięła mi więzy i z promiennym uśmiechem na twarzy wręczyła pistolet.

Przyłożyłem sobie lufę do głowy. Zrobiło mi się przykro, że okłamywałem Lunę tak długo. Strzeliłem jej w pierś. Nie chciałem strzelać w serce, to by było zbyt smutne. W sumie była dla mnie miła. Teraz na jej twarzy malowało się zaskoczenie. Miałem do siebie żal, że umrze, nie znając prawdy.

- Kotku, przepraszam, że nie powiedziałem ci wszystkiego o tej broni...

Położyłem jej głowę na moich kolanach.

- To urządzenie powoduje wyrzuty sumienia tak wielkie, że ludzie natychmiast popełniają samobójstwo, w ich sercach rodzi się tak przerażający żal za wszystkie wyrządzone krzywdy, że nie widzą innego wyjścia, by ukoić ból. Ale, jak zdążyłem zauważyć, my nie mamy sumienia. Ani ty, ani ja... Na nas to nie działa tak, jak powinno... Kurwa. Chyba przyjąłem za dużą dawkę. - Podniosłem się z podłogi.

Włączyłem silniki startowe. Gdy już byłem na odpowiedniej wysokości, spuściłem na Vu cały arsenał. Nic się nie miało prawa tam zachować. Artefakt i ciało Luny wyrzuciłem w kosmos.

Teraz dopiero poczułem prawdziwą ulgę. Do końca nie byłem pewien, czy uda mi się zapłakać na zawołanie. Nigdy nie płakałem, a bez tego pewnie by się nie nabrała. Polizałem łzę. Była słona, tak jak opisywano. Ciekawe doświadczenie.

Znów byłem sam. W planach miałem teraz poważne rozmowy z tą mściwą suką - Suzie, i Xieniem. Najwyraźniej przyszedł jednak czas na nowego Dziadka.

Dariusz S. Jasiński